Nro 15.

DZIENNIK MÓD PARYSKICH.

Lwów, 8 kwietnia 1848. **Rok dziewiąty.**

Wychodzi co sobota regularnie. Przedpłata we Lwowie rocznie 10 zr. półrocznie 5 zr. kwartalnie 2 zr. 30 kr. m. k. Bez rycin rocznie 4 zr. półrocznie 2 zr. kwartalnie 1 zr. m. k. Na prowincyi chcący odbierać pocztą dołączają do cen powyzszych za przesyłkę pocztową rocznie 1 zr. 36 kr. półrocznie 48 kr kwartalnie 24 kr. Z prowincyi można nadsyłać pocztą należytośc prenumeraty pod adresem redakcyi Nr. 301 we Lwowie, w którymto jedynie razie redakcya ręczy za regularną przesyłkę numerów w opieczętowanych kopertach. W królestwie polskiem i Rosyi prenumerata składa się na pocztach.

Dzieje niewoli.

Do naszych spółpracowników.

Wolnosć druku otworzyła nowy świat piśmiennictwu. Co dotąd w tajni pamięci się kryło, w poufnej gawędce brzmiało, w przybyłej zdala książce ukradkiem odczytywano, to teraz stugłośnie na jaw wystrzelić może. Nie mówimy tu o wyrazach nienawiści i żalu, które nawet kiedy sprawiedliwe, tylko jako podnieta do czynu uniewinnić się dadzą, ale właśnie o tym zewnętrznym wyrazie czynów naszej ostatniej przeszłości, czynów poświęcenia i niezłomnej, męczeńskiej wiary z jednej, czynów ciemięstwa i zdrady z drugiej strony — czynów całej naszej kilkudziesięcioletniej historyi upadku i niewoli.

Jakże różnolicowe są te dzieje w samej krainie naszej, a jak mało znamy charakterystyczne ich szczegóły! My młodsi ledwie w pobieżnych wzmiankach zasłyszeliśmy o owych pierwszych latach tych dziejów, kiedyto spruchniałe arystokratyczne arkady dawnej budowy politycznej pod zaspą niemieckiego zaboru w dziwacznych łomały się zygzakach, podczas gdy jednocześnie w chudopacholskich zastępach Dąbrowskiego i kosynierskich pułkach Racławickich myśl przyszłego oswobodzenia ojczyzny młodą zpod powierzchownej ruiny zazieleniała rószczką, a prostacze usta starych wiarusów „Jeszcze Polska nie zginęła!“ zaspiewały — o owych latach ogromnych jeszcze fortun magnackich i sromotnego ulężenia ich posiadaczy w sidła niewoli, o latach Kościuszki i Legionów.

Nowy Attila rewolucyjny, ów „Bicz boży“ na króle i ludy, pochłonął najprzód pierwsze nadzieje nasze, a potem w drobnym uiszczając je rozmiarze, pociągnął ku sobie wszystkie umysły i ramiona, i mianowicie w naszej krainie wywołał ową rubaszną ruchawkę, ów złowrogi dla Niemców rok 809. Gdzież pamiętniki tych czasów? Gdzie wiadomość o coraz widoczniejszem podupadaniu i skażeniu się naszej arystokracyi historycznej, podczas gdy z rozszarpania jej majątków, dokupywaniem do tego austryackich grafowskich i baronowskich tytułów tworzyła się nasza dzisiejsza pseudo-arystokracya, która chyba bezwstydnym frymarkiem i hańbą, karty swoje w historii zapełniła, a którą jednak istotnie-historyczna ale zepsuta arystokracya dawna pogardzić już siły i dumy dość nie miała.

Nastała tedy z okruchów zawiedzionej nadziei, ze zbutwiałego próchna dawnej arystokracyi, z pleśnych grzybów czeredy Dorobkiewiczów, podszywających się pod arystokracyę, nowy stan rzeczy, nastała owa Galicya o sejmach stanowych i gnuśnem otrętwieniu społecznem, której sama nazwa do niedawna słowem urągowiska dla reszty Polski była. Ktoż nam w zgrzytających zębem satyrach, w trupich karykaturach Hogarta, skreśli dzieje tych straconych, niczem nie uświęconych lat kilkunastu?

Na szczęście inne części Polski za nas działały. Nastąpiło nowe podniesienie broni przeciw ciemięstwu. Ocknęła się Galicya. Zalew emigracyi w 831 i 832 wzbudził nowe życie we wszystkich stanach. Szlachta jęła znów sejmikować, piła, zbierała składki; młodzież garnęła się do spisków; lud zasłyszał znowuż o Polsce. Pomiędzy temi wszystkiemi wił się w tysięcznych postaciach żołnierza, eleganta, poety, emisariusza — emigrant, i biesiadując ze szlachtą, umizgając się do żon i córek, organizując z młodzieżą związki tajne, czyniąc propagandę pomiędzy ludem — z początku goszczony i cierpiany, poźniej prześladowany, więziony, ścigany; w przebraniu po ustroniach i lasach, albo śród najzgiełkliwszego tłumu przeciwników kryjący się — służył jak umiał sprawie. Do iluż romantycznych powie-

ści, przygodnych szkiców, komicznych i heroicznych obrazów nastręcza ten krótki przeciąg czasu najciekawszej osnowy?

Wkrótce przygotowana tak Galicya, udziałem swoim w partyzantce z r. 1833, przystąpiła do dzieła całej Polski. Rozpoczęły się śledztwa, napełniły się więzienia. Środki takie były od wieków owym w Mickiewiczowskiej bajce fortelem djabła, który chcąc pierwszego człowieka z bożego daru ziemiopłodów okraść, zagrzebał ziarno w ziemię. Zagrzebane przez djabła ziarno i zagrzebane przez naszych prześladowców w karmelickie lochy poświęcenie się mężów i dzieci wydało plon stokrotny. Każdy odkryty związek zradzał trzy nowe; każdy do Berna lub Kufsztajnu uwieziony potępieniec znachodził dziesięciu zastępców w więzieniach inkwizycyjnych. Któż z nas nie siedział w Karmelitach? Prócz lwowskich Karmelitów, Brygidek, Małych koszar, stanęły więzienia polityczne w Przemyślu, w Samborze, w Rzeszowie. Tysiące ofiar znikały ze świata bez wieści. Uskarzano się dobrodusznie, że tym sposobem kwiat młodzieży bezdzięki ginie. Wszakże wynikłe ztąd następstwa są najlepszą na to odpowiedzią. Osoby ginęły, lecz sprawa rosła. Możność tak powszechnego rozpostarcia się ruchu 1846 roku była jedynie poprzedniego ofiernego poświęcenia się skutkiem. — Otrzymamyż kiedy zupełną historyę tych ofiar, tych więzień, tych dobre mienie, wszelkie ponęty spokojnej cywilizacyi, całe życie poświęcających zapaleńców, bez których ślepego zapału wszystko w dawnej gnuśności byłoby tęchło; tych z bezpiecznego pobytu za granicą po więzienie i śmierć do ojczyzny wracających tułaczów, tych Kaspra Cięglewicza, Teofila Wiszniewskiego, Edwarda Dębowskiego i tylu innych? Przynajmniejż najtreściwsze szczegóły tej więziennej historii spieszmy podać w spuściznie dla przyszłej dziejowej „Księgi zbawienia."

Wreszcie stało już związków i knowań. Przysposobiony niemi duch wybuchnął 1846 r. czynem. Czyn ten nie zbawił do razu ojczyzny, ale aż nazbyt boleśnie przekonał ociętne dotąd umysły o gwałtownej potrzebie zupełnego przerodzenia się społecznego, a co największa, dał w obliczu całej Europy krwawe, męczeńskie świadectwo o naszem niewygasłem nigdy narodowem, jeźli nie politycznem życiu, o okropności ciężącego potąd nad nami jarzma. — Wszak nie zapomnieliśmy jeszcze niestęty tych przeddwuletnich dziejów. Tysiące zwalisk po całej ziemi, tysiące po całym kraju tułających się wdów i sierot, tysiące dawniej i świeżo oswobodzonych więźniów, i dwie szubienice, u których stóp niedawno rzucone kwiaty jeszcze nie zwiędły, są dla nas w obecnej chwili dość wprawdzie czytelnemi głoskami tej historii; wszelako nawał wypadków dzisiejszych zaciera ślady wczorajszych, a zależy przecież na tem, abyśmy dla tem gorliwszego cenienia wolności przyszłej, znali najdokładniej wszystkie szczegóły, wszystkie boleści świeżej niewoli.

Wzywamy tedy do starannego w szczegółowych opisach, powieściach, szkicach, przechowania rysów tej różnolicowej epoki. Wspomnienia starca, który jeszcze pobyt Kościuszki we Lwowie pomni, legionisty, który pierwszy pieśń Dąbrowskiego do naszej krainy przyniósł, uczestnika powstania r. 809, świadka arystokratycznych festynów r. 817, towarzysza przybyłych w 831 z korony braci, spółdziałacza partyzantki r. 833, więźnia, który sam długoletnie w rodzinnej i obcej ziemi więzienia przebył, i przyjaciela tych, którzy w nich poginęli — wszystkie te wspomnienia są zarówno pożądane. Osobliwie zaś należną jest ta dań pamięci spalonym w wapiennym dole męczennikom dnia 31 lipc 847 r.

Obok takich obrazów umieszczać będziem odpowiednie potrzebom czasu rozprawy, dotykające z ogólniejszego stanowiska bieżących kwestyj społecznych. Najważniejszą sprawą taką jest obecnie sprawa pańszczyźniana. Nie wezmą nam więc za złe czytelniczki nasze, że w piśmie, poświęconem swą nazwą wytworowi, dotkniemy w poniższym artykule tej kwestyi pracy i barbarzyństwa, od której rychłego rozwiązania zależy też rychłość spełnienia najświętszych nadziej. Tuszymy owszem, że ich tak żywo i niecierpliwie dla dobrej sprawy, dla światła i ludzkości bijące serca przyczynią się najsilniej do uchylenia ostatnich przeszkód niedeterminacyi i krótko widzącego egoizmu, jakie jeszcze tęż sprawę, a z nią zarazem bliskość osiągnięcia najgorętszych naszych życzeń tamują.

Kwestya żywotna.

Kto dziś jakikolwiek udział bierze w życiu publicznem, czy to czynem czy radą, żywą mową lub pismem, ten nieustannie powinien to mieć w pamięci, że jest sługą narodu. Służba ta może ciężka ale wdzięczna temu, kto się jej cały poświęcił, i taki zaiste dumnym z niej być może, bo służy panu — po bogu — największemu na ziemi. Biada mu zaś, jeźli tego nie pojął, jeźli dobra narodowego nie umiłował nad wszystko, jeźli dla jakichkolwiek choćby pozornie szlachetnych nawet pobudek przeniewierza się panu, którego skarb najdroższy, którego przyszłość piastuje. Bo minął czas pozorów, bije godzina prawdy, godzina sądu, na którym sądzić się będą i czyny i słowa. Niech więc czyny nasze odpowiadają słowom naszym, a słowa nasze niech zawsze płyną ze szczerości ducha, bo inaczej marne będą tak jedne jak drugie. Bez tej szczerości w słowie, bez tej odwagi w czynie, nigdy nie trafim

do rozwiązania tych pytań, które siedmdziesiąt sześć lat niewoli nagromadziło, a jeźli my ich nie rozwiążem, to się same i bez nas rozwiążą — rozwiążą się po bożemu, ale ze szkodą naszą, bo brak obywatelskiej odwagi i szczerości nigdy nie uchodzi bezkarnie.

Najnaglejsze pytanie, które nam puścizną po owych nieszczęsnych latach zostało, tyczy się pańszczyzny i poddaństwa. Każdy dzień, każda godzina niepewności utrudnia je, bo najmniejsza zwłoka grozi odebrać początkowanie tym, którym się słusznie należy a złożyć je w ręce może najmniej właściwe.

Pytanie to rzucone zostało w sposób tak gwałtowny, rozwiązanie onego zagajone tak dalece wbrew wszelkiej prawności i słuszności, że dziś nie czas już myśleć o powrocie na drogę ściśle legalną. Pytanie to gorące i parzy jak ogień — a jednak śmiałą ręką ująć go i rozstrzygnąć potrzeba; bo dziś jeszcze my je rozstrzygnąć możemy, jutro może już się samo rozstrzygnie. Że się prędzej czy poźniej, od straty wybiegać niepodobna, na to zapewne wszyscy się zgodzimy; nie zapominajmyż i o tem, że każda dobrowolna strata o połowę staje się mniejszą, bo staje się ofiarą, a ofiara na tym bożym świecie każda się wypłaca.

W polityce jak w wojnie chwila wszystko stanowi. Przespaliśmy chwil niemało, przebudzeni wiele jeszcze i to najkosztowniejszych przesejmikowaliśmy napróżno; a teraz okoliczności nawałem nas cisną, w oczach nam olbrzymieją i już nas prawie przerosły, więc tylko podniosłszy się do razu jednym wielkim czynem, możemy im jeszcze dorównać. W każdym silniejszym ruchu ta nieszczęsna pańszczyzna ciężyła nam jak więzienna kula. Niemasz wieszcza, któryby przewidział co nam jutro przyniesie; to tylko pewna, że już nie wróci to co było wczoraj. W którąkolwiek zaś stronę skieruje nas ręka opatrzności, która dziś tak widomie sprawy ludzkiemi zawiaduje, póty jeszcze co krok upadać będziemy tak jakeśmy dotąd zawsze upadali, póki nie zerwiemy tego tamującego nas pęta.

Większą część tego, co dziś jeszcze w ofierze złożyć możem ojczyźnie, już i tak przestaliśmy uważać za swoje. Gdyby nie cudowna zmiana w systemie rządowym, już od 1 lipca właściciele dóbr tracilіby większą część, a niektórzy, i to w znacznej liczbie, dwie trzecie, trzy czwarte, nawet cztery piąte pańszczyzny — traciliby ją bez żadnego wynagrodzenia, traciliby poniewolnie więc całkiem bezowocnie. Dotąd jeszcze nie zaprzestano pomimo owej błogosławionej zmiany ogłaszać poddanym patent regulacyjny. Utwierdzają się oni przeto w tem błędnem mniemaniu, że jeszcze dotąd ktoś inny, a nie sam właściciel, prawem jego dobrze nabytem rozrządzać jest mocen. Jeźli ociągać się będziem z całkowitem uwolnieniem poddanych, którego nam nikt nie zakazuje i nikt oczywiście zakazywać nie może, to przekonanie przy pomocy ludzi nieżyczliwych tak się zakorzeni, że nam żadnego owocu zebrać nie dozwoli z ofiary kiedyś po niewczasie zrobionej.

Wiele od dni kilku mówimy o zbrataniu się wszystkich stanów w narodzie, o zniesieniu wszelkich przywilejów, o porównaniu wszystkich przed prawem itd. Juźciż nie myślą zapewne sami uprzywilejowani zstępować do tych, którzy dotąd jeden tylko mieli przywilej, na ciężką, nieustanną pracę i — nędzę. Dążenie ich zapewne szlachetniejsze będzie; zamiar z tak powszechnem uniesieniem powzięty nie może zmierzać do czego innego jak do podniesienia stanu dziś poniżonego do wysokości wszelkich owych przywilejów, które dotąd niewielu tylko wybranych mogły być udziałem. Ale wszelkie takie mowy będą bezowocnemi tak długo, aż czynem dowiodą ci, na których przyszedł czas ofiar, że stać ich na tyle cnoty i na tyle miłości, ile na zawiązanie tego nowego węzła braterstwa narodowego potrzeba. Dopóki pańszczyzna rzeczywiście nie ustanie, dopóty próżno się nam spodziewać zaufania nietylko ze strony włościan, ale i ze strony tego szlachetnego stanu mieszczańskiego, który obecnie tak oczywiste daje dowody najgorętszej miłości dobra narodowego.

Podpisało już wielu właścicieli dóbr adres do najjaśniejszego pana, we Lwowie dnia 19 marca ułożony; podpisują go dotąd inni na wsiach mieszkający i wszyscy niezawodnie podpiszą. Wszakże wyraźnie opiewa punkt dziesiąty adresu: że właściciele dóbr dotychczasowym swoim poddanym, z niektóremi słusznemi zastrzeżeniami, z należących im danin, powinności a mianowicie pańszczyzny dar uczynić chcą. Już więc darowana pańszczyzna i ustać powinna niezwłocznie. Darmo się tu wykręcać, że na to potrzeba przyzwolenia najjaśniejszego pana. Najjaśniejszy pan nadając wiernym ludom swoim prawo do konstytucyi, tem samem zrzekł się sam prawa wyłącznie mu dotąd przysłużającego, rozporządzania dowolnie osobą i mieniem poddanych. Więc sejm tylko będzie mocen ostatecznie o zniesieniu pańszczyzny stanowić. Ale nikt nie zdoła przewidzieć kiedy i pod jakiemi okolicznościami sejm ten będzie mógł być zebranym. Wszakże poprzedzić go musi sejm tymczasowy, który tymczasowy sposób pierwszych wyborów urządzi. Na mocy tego urządzenia wybrany i zwołany sejm dopiero konstytucyą układać będzie mógł, i aż po ułatwieniu tej tak ważnej, tak długiego rozbioru potrzebującej sprawy, przyjdzie kiedyś tam kolej na tę najnaglejszą kwestyę pańszczyzną, która natenczas zapewne już dawno sama przez się — *de facto* — rozstrzygnioną będzie. Tym torem jeźli rzeczy pójdą, nie obejdzie się bez wielkiej szkody dla kraju, a mianowicie dla tych, od których dziś jeszcze rozwiązanie całego pytania zawisło, a którzy jednem silnem postanowieniem, jednym prawdziwie obywatelskim czynem wszystkim trudnościom zapobiedz,

wszystko wyrównać mogą. Czemże zaś innem jak nie czczą, nieszczerą deklamacyą wydać się może to uroczyste oświadczenie, że właściciele dóbr z pańszczyzny i wszelkich danin włościanom dar uczynić chcą, dopóki ciż sami jak gdyby się nigdy z niczem nie oświadczali, tychże włościan dziś jak wczoraj na pańszczyznę wołają?

Jako za największą łaskę dziękowaliśmy Najwyższemu w pierwszych dniach szczęścia naszego za to, że nam dozwolił przez tak długi czas niewoli przechować w sercach najdroższy skarb, najdroższą puściznę po wielkich ojcach naszych: narodowość naszą — która nie jest czczą marą, próżnem słowem, utworem poetyckiej mrzonki, która i owszem jest najrzeczywistszą siłą, najsłuszniejszą dumą i zaszczytem naszym. Dumnymi z niej jesteśmy, bo ona była żywiołem tych świetnych dziejów, główną dźwignią tylu wielkich czynów, których pamięć z pokolenia na pokolenie przechodzi jako najdzielniejsza dla następców podnieta. Dochowaliśmy ją i oddamy nieskażoną tym pokoleniom, które po nas przyjdą, jeźli w żadnej chwili nie zaprzemy się tej szlachetnej krwi, która w nas płynie, i usłuchamy wołającego z mogił głosu naszych praojców, którzy niczem innem tylko poświęceniem wielkości się swojej dorobili. Żyjemy w czasach olbrzymich — nie wątpmy jednak o sobie; stać jeszcze na to tę przezacną krew polską, żeby podołać wszystkiemu co wielkie, co szlachetne, co wzniosłe. Tylko po długiem strętwieniu rozbudzić ją trzeba, pchnąć ją w ruch jednem wysileniem, aby pozbywszy długoletniej pleśni zawrzała przyrodzonym zapałem. Od nas to samych zawisło. Pamiętajmy tylko, że jak w życiu pojedynczego człowieka tak w życiu narodu każdy czyn wzniosły zadatkiem jest i rękojmią całej wzniosłej przyszłości. W kim raz zatliła ta iskra, którą bóg sam nas wyposażył, tego już ona zagrzewać będzie aż po koniec dni jego. Odważmy się raz tylko odetchnąć szczerze tchnieniem swobody i cnoty, a iskra ta rozżarzy serca nasze i nigdy już więcej nie zgaśnie. Pamiętajmy o tem, że miłością tylko wielkie się rzeczy budują, a naród wygląda z rąk naszych rękojmi, którą mu dłużni jesteśmy: że tę miłą ojczyznę już nie jako wyłączną starszej braci dzierżawę, ale jako wspólne dziedzictwo wszystkiej praworodnej dziatwy uważamy.

Precz z nienawiścią, precz z podejrzeniem wzajemnem! A ten, któregośmy raz bratem nazwali, niech się już nie zaprzęga zarówno z bydlęciem na zawołanie nasze do woza i pługa naszego. Niech ten, którego dotąd płonnemi karmiliśmy obietnicami w zamian za chleb powszedni, którym on nas karmił, niech raz ujrzy czyn miłości braterskiej, a obróci się serce jego ku nam i w długie lata błogosławić będzie potomność dniowi bogdaj niedalekiemu, w którym od granicy do granicy rozlegnie się w kraju naszym ten radośny okrzyk: „Już u nas niema pańszczyzny!“

S. S.

Głos ludu z Podola.

Nadesłane przez Kazimirza Bieńkowskiego.

Niech wam pany! bóg zapłaci
Za ten święty głos:
Nazywając braćmi braci —
Nie spadnie nam włos!

I my chociaż dziś bez wiedzy,
Co przeznaczył bóg;
Strzedz potrafim spólnej miedzy,
Gdy zagrozi wróg!

Naszych ojców opowiadki
Szczepiły w nas strach,
I my także w nasze dziatki:
Ze wrogiem jest Lach!

Cieszymy się z wami razem,
Nie myliż nas słuch?
Żeśmy ludzi dziś obrazem
I boży w nas duch!

Posłanniki bożej woli
Cześć wam z dala, cześć!
W szczęsnej się czujemy doli,
Mogąc dzięki nieść!

Już wymażem złe z pamięci,
Co sam zrodził czas:
Niech się dzień jedności święci
Łącząc z wami nas!

Nasze serce nie zepsute!
Ustępuje ból!
Skoro więzy już rozkute,
Miły pan i król!

W naszem sercu, w naszej głowie,
Ciemna była noc.
W waszym ręku, ach panowie,
Światła dla nas moc!

Skoro światło rozpromieni
Wyższość ducha w nas:
Żal się w miłość tak przemieni,
Że westchniemy wraz!

Boć tam z głowy włos nie spadnie
Pokąd stoi świat,
Gdzie do zgody rękę snadnie
Podał bratu brat!!

O już słyszę tchnienie boże,
Czuję niebios wzgląd:
Że nim ciężką głowę złożę,
Zmażem ślepych błąd!!

Chłopek zpod Miodoborów.

Obrazek z powstania r. 1846,

przez Zygmunta Kaczkowskiego.

U stóp jednej z licznych, czarnemi jodłami zjeżonych gór karpackich, stoi dwór murowany. Ze stylu jego budowy snadnie poznasz mieszaninę architektury gotyckiej z bizantyńską; pomimo to, że poźniejsze naprawy i odmiany o wiele przekształciły pierwotną jego postać, a niedawnemi laty z frontu przybudowany ganek z ławkami i daszkiem uderza cię typem architektury polskiej, może tylko na gankach i wewnętrznym pokoi rozkładzie ograniczającej się, a której nieliczne ślady widać jeszcze w obwodach galicyjskiego podgórza.

Byłoto pod koniec zimy 1846 roku. Śniegi w grubych leżały warstwach na górzystych polach i lasach, a wichrami i burzą naniesione masy śniegu, zbierały się w dolinach i wąwozach i w fantastycznych ułożone kształtach, naśladowały szwajcarskie gleczery w drobnej perspektywie.

Na obszernym dziedzińcu wspomnionego dworu, obmurowanego wokoło stajniami i zabudowaniami gospodarskiemi, spokój panuje nadzwyczajny. Słońce bladym promieniem oświetla całą okolicę, na śniegu skrzą się iskierki mrozu, odbijające w sobie blado-tęczowe barwy zimowego słońca, dym grubą jasnej barwy kolumną wznosi się z kominów do góry, i wróble skaczą po parkanach i płotach, upatrując wokoło stajen i stodoł rozsypanego ziarna.

Wewnątrz dworu także cisza nadzwyczajna. — W pierwszym alkierzu od sieni gankowej, w starem poręczowem krześle, napiętnowany stem herbowych, ukoronowanych guzików, w liberii wiernie do barw familijnych pana domu zastosowanej, siedzi stary, osiwiały lokaj, i o bitwach i wojennych znojach, które towarzysząc panu gdzieś za Wisłą odprawiał, dumając, spokojnie drzymie. Przez ten alkierz wchodzi się do obszernej komnaty, której posadzka misternie z dębowych klocków ułożoną, jak kobierzec perski wygląda, a której ściany przez połowę staremi obite makatami i starożytnemi narzędziami wojny i łowów obwieszone, przez połowę zaś niegdyś pięknem, dziś wybladłem upstrzone malowidłem. W rogu stoi wielkie dębowe łoże, przed niem ogromna rozesłana skóra niedźwiedzia, nad niem wiszą dwa tureckie pistolety, kindżał tatarski i szeroki kord polski, z wyrytym na brzeszczocie Bogarodzicy obrazkiem — a na łożu otoczony poduszkami i materacami, oparty na żylastej, lecz starością i pracą skurczonej już ręce, spoczywa ośmdziesięcio-letni starzec, z białym jak śnieg włosem i siwym sitarskim wąsem.

Na twarzy jego widać wiekiem wyorane zmarszczki, widać szczerby głębokie, widać starość, lecz i czerstwość razem, — widać slady dawnego życia i ślady dzisiejszego cierpienia, widać wyraz szlachetny i mężki, lecz długiem naznaczony udręczeniem, czy to słabości, czy cierpień lub zgryzot wewnętrznych. — Starzec leży a nie spi, lecz oczy jego wpół zmrużone, a z jego posągowej nieruchomości poznasz łatwo, że pamięć jego w tej chwili, sięga gdzieś czasów młodości, czasów może świetnych, lecz straconych; — pamięć ta dziś je z otchłani przeszłości przywołuje przez źwierciadło duszy, a umalowawszy je wszystkiemi barwy uroku, karmi niemi chwile teraźniejszości, chwile smutne, jednostajne, a nacechowane męczeństwem i niewolą narodu, ubarwione krwią wylaną w bojach za niepodległość Polski, ukwiecone nędzą braci tułaczy i wygnańców sybirskich, przystrojone w knuty i szubienice, ospiewane jękiem męczenników, brzękiem kajdan i łabędziemi tony konającej ojczyzny, a zbrudzone fałszem, co na tronie prawdy, i zdrady, co na tronie cnoty zasiadła!

Obok łoża siedzi jasnowłosy młodzieniec, dwudziestokilkoletni syn tego starca — siedzi przy łożu cierpień i także w posągowej nieruchomości wpatrzył się w oblicze ojca, codzien więcej zatrważający przybierające wyraz, jak gdyby godzina śmierci lotem czasu się już zbliżała. Młodzieniec patrzy, i także duma. Lecz o czem? — Niema on jeszcze przeszłości. — Po śmierci ojczyzny, wśród jęku braci, wśród łez niedoli, wśród szczęku najezdniczego zrodzony oręża, dzieckiem jeszcze kark musiał nagiąć w jarzmo niewoli i poddaństwa. Lecz wie przeszłość ojczyzny swojej, żywo mu stoją pzzed oczyma duszy obrazy dawnej jej świetności i chwały; przez pryzmę pamięci widzi szczerbiec na bramie Kijowa, widzi pola Warny i wiedeńskie zwycięstwa, widzi pola Grochowa i Ostrołęki, i krwawi mu się serce na widok tyla krwi naprózno wylanej, tyla mąk bez zbawiennego dla kraju skutku cierpianych; i łzawi mu się oko z wzruszenia na wspomnienie wojny lub powstania, bo młodzieńczą na pola przyszłości wiedziony wyobraźnią, widzi tam codzień wyrastające młodej Polski siły, widzi przyszłe ludów swobody, ich wolność i braterstwo, widzi młodzieńców olbrzymów, którzy milionami rąk silnych, milionami serc czystych odrodzoną już Polskę z urny popiołów wskrzeszają i podnoszą jej ciało, obmyte z krwi męczeństwa i łez sieroctwa, tak, ażeby świat cały okiem czci i zdziwienia popatrzył się na nie, i rozciągają lite jej szaty od mórz Czarnych do Bałtyckich, od Morskiego Oka po Tylżę i Rygę, od Odry aż po Dniepru progi! I chciałby coś zrobić dla tej Polski, którę całą ukochał duszą, którę

młodzieńczą objął miłością, choćby pierwszy krok taki miał pełnem nadziei przepłacić życiem!

Wtem starzec się podniósł i odkaszlnął.

— „Mój synu! Widać bóg długie pokuty naznaczył nam lata“ temi słowy kończył starzec swoje marzenia. „Coś tam mówią o powstaniu — jakieś wieści głuche, niepewne, — cożto będzie? — a gdzieżto są siły?“

— „W narodzie! mój ojcze!“

— „W narodzie, niewprawnym do konia i broni — partyzantka — rzecz śliska — my nie Hiszpanie — przeciw wojskom regularnym trzech mocarstw.“

— „Ale lud, ojcze!“

— „A.... lud, o którymto tyle mówicie i piszecie. Bywało to, było i za mojej pamięci, ale czy cały lud ruszy? gdzież plany? gdzież dowódzcy? a broń gdzie? a jak się noga powinie, ileto krwi niewinnej popłynie, znowu fortece, knuty, szubienice, Sybir.“

— „Lud ruszy, plany są i dowódzcy są, broni nie braknie, a jeżeli się noga powinie, to przynajmniej prowincya nasza tak ciemna i głucha, tak martwa i nieczynna, cała obudzi się ze snu; mogą być i ofiary, ale coż na świecie bez ofiar?“

Wtem okna się dworcu zatrzęsły i turkot kilku powozów i dzwonków od sanek doszedł uszu mówiących. Gwar było słychać w sieni, potem w alkierzu i otworzyły się drzwi komnaty; starzec rękę przyłożył do czoła, zasłaniając osłabione oczy od światła, i ujrzał ośmiu wchodzących mężczyzn. Pomimo różnicy wieku i ubioru, na twarzach przyjezdnych jeden widziałeś wyraz, wyraz którego nie dojrzałeś od lat piętnastu, od ostatniego powstania, bo wyraz ten obcym nam był przez cały czas spokoju i ujarzmienia w kraju, przez cały czas letargicznego periodu, przez cały czas kiedy bez oporu i w milczeniu męczono braci naszych więzieniem i uciskiem, kiedy zgnębieni smutkiem trawiącym serca nasze, z żalem zawiedzionej nadziei, z wieczną łzą w oku i głową zwieszoną, otoczeni zgrają szpiegów i podłych służalców, chodziliśmy bez celu i myśli — w milczeniu, bo za język knutami szarpano ciało nasze — bez modłów, bo zamknięte nam były świątynie, a kapłani językiem wrogów kazali rzeczy świętokradzkie — bez rozumu, bo uczelnie zniesiono, — z sercem tylko pełnem rospaczy i wrzącej zemsty, bo nią tylko nasiąkły uczucia nasze. Wyraz ten wyryty na twarzy nowoprzybyłych był nam obcy i dziwny, byłto wyraz w głębi swojej mieszczący nieograniczoną radość, skrępowaną bojaźnią, aby się zawcześnie na jaw nie wydobyła, i dla tego pierwszem spojrzeniem nakazujący milczenie — wyraz ten mieścił w sobie dalej pewien znak rezygnacyi i niczem niezachwianej odwagi, gotowej z zimną krwią przyjąć w każdej chwili śmierć lub zbawienie, koronę męczeństwa lub pierwszą swobody jutrzenkę. Wyraz ten w końcu mieścił w sobie poświęcenie się bez granic sprawie oswobodzenia ojczyzny, poświęcenie wszystkiego, co można na ziemi nazwać własnością, poświęcenia przywilejów, majątku i życia.

Dla tego młodzieniec siedzący przy łóżku starca, porwał się z krzesła jak piorunem rażony, i przyskoczywszy do przychodzących,

— „Czy już jest termin?“ zapytał.

— „Jest“ odpowiedział pierwszy.

— „Termin!“ krzyknął starzec drżącym głosem, dawno już niedoświadczanem uczuciem porwany. „Termin!“ i machinalnie wyciągnął rękę ku ścianie, gdzie broń była zawieszona, i zdjął kord stary, i konwulsyjnie ścisnąwszy go w dłoni, przez cały przeciąg rozmowy nie wypuszczał go z ręku.

— „Dwudziestego pierwszego lutego“ począł pierwszy „jest termin natarcia na wroga w jednej chwili na wszystkich punktach całej Polski. Każdy, ktokolwiek zdolny broń dźwigać, ma stanąć w oznaczonem miejscu zbioru. Ile ma koni zdolnych pod żołnierza, ma wziąć z sobą i tam złożyć w ręce dowódzcy. Ludzi ile możności najwięcej, broń wszystką, jaka jest w domu. Ktokolwiek zaś stoi w bezpośredniej styczności z gromadami, ma je w dzień terminu zwołać i ogłosić im następujące postanowienia: Najpierw: Wszelkie pańszczyzny, daniny, czynsze, daremszczyzny od dziś dnia ustają nazawsze.“

— „Jakto!“ wykrzyknął starzec „pańszczyznę darować!“

— „Tak jest“ zimno odpowiedział mówiący.

— „Pańszczyznę darować! a to na co?“

— „Bo pańszczyzna jest nadużyciem, a wszystkie nadużycia i niesprawiedliwości, krótko, wszystkie podstawy poddaństwa i ucisku od dziś dnia ustaną.“

— „Ustaną poddaństwa i podstawy ucisku, ale za cóż d a r o w a ć pańszczyznę?“

— „Najpierw: gdyby nawet za nic, to dla tego, że jest, jak mówiłem, nadużyciem, podstawą poddaństwa i ucisku, więc przeszkodą do równości i wolności, bez których niemasz oswobodzenia ojczyzny. Powtóre: darowujący pańszczyznę składa ją jako ofiarę na ołtarzu ojczyzny, nią okupuje jej wolność, jej oswobodzenie, a przyciskając braci swych poddanych do piersi, wypełnia święty obowiązek, o którym niestety dotychczas zapomniano.“

— „Okupuje jej wolność! mówisz, wolność ojczyzny! Z całego serca, na ofiarę dla kraju, na ołtarz ojczyzny, wszystko co mam! Nietylko pańszczyznę, ale majątek, ziemię moję, dobytek, bierzcie wszystko! wszystko! nie mam nic takiego, czegobym nie dał na tak szczytną ofiarę. Syna mojego jedynego, ostatni mojego imienia, ostatni mojego rodu — weźcie — jeźli zginie w obronie ojczyzny, nie będę żałował, choć imię wygaśnie! Wszystko bierzcie, a ratujcie konającą ojczyznę! Ratujcie! na boga was zaklinam! Patrzcie! jam

życie moje sterał na usługach kraju, jam siły moje stargał na utarczkach i wojnach z wrogami. Widziałem wszystką krew polską, która w nadziei wyjarzmienia ojczyzny potokami zalała ziemię naszą — zalała Europę całą — obryzgała piramidy! Byłem w Hiszpanii i St. Domingo, byłem we wszystkich bitwach Francyi i Niemiec, noc całą mokłem w Berezynie; Grochowa i Ostrołęki pola widziały mnie już starcem w szeregach, a wszystko w nadziei oswobodzenia kraju mego zpod jarzma ciemięzców, lecz wszystko daremnie! Jeszcze za mało wylano krwi polskiej na zmycie grzechów naszych! Kiedy macie dziś siły, ratujcie co jeszcze ratować można! Urodziłem się na ziemi wolnej jeszcze, nie dajcie mi zginąć w niewoli! Po pierwszej bitwie wygranej, z roskoszą zamknę oczy, z roskoszą w najsroższych mękach konać będę, a pokażcie mi tylko koniec szaty wyjarzmionej ojczyzny!“

Starzec osłabł na siłach i głębiej się wtłoczył w poduszki, kord tylko ze skurczonej nie wypuścił ręki. — Wszyscy stali osłupieni i głęboko wzruszeni. Młodzieniec chustką łzy z oczu ocierał.

Tymczasem co chwila szlachta się zjeżdżała z okolicy i każdy prawie bez przywitań zwyczajnych, w te do organizatora odzywał się słowa:

„A na boga! a jakżeż mnie można wykluczać? czyżto nie dałem dowodów, że zarówno z innymi, a może jeszcze i więcej miłuję ojczyznę? Czyżto ja siedziałem w domu, podczas gdy inni walczyli? Czyż niechętnie do wszystkich przyczyniałem się składek? I ja chcę pańszczyznę darować! Proszę o akt proklamacyi! Chętnie się zrzekam tytułów i przywilejów; z miłością przycisnę wszystkich braci moich rodaków, bez różnicy stanu, do piersi, chętnie im przywrócę niesłusznie wydartą im godność człowieka i brata, chętnie sam stanę w szeregi, byleby ojczyzna wolną była!“

Wielu przyjeżdżało i każdy to samo powtarzał.

Zaiste jest w szlachcie polskiej niczem niewytępiony zaród miłości ojczyzny. Każdy Polak, chociażby z wszystkich cnot odarty, choćby wszystkie szlachetniejsze przygłuszył w sobie uczucia, choćby przesiąkł grubemi błędami i samolubstwem, nigdy się nie da wynarodowić, nigdy zupełnie uczucia miłości ojczyzny wytępić w sobie nie potrafi.

Dzieje nasze, których każda karta świetnemi przodków zapisana czynami, liczne w kraju i za krajem walecznych czynów rozsiane pamiątki, kości braci naszych po całym rozrzucone świecie, zwycięstwa nasze i sława wojenna tak świetnie odbijająca się od puszcz Afryki do północy Ameryki, od Hiszpanii do Kaukazu, wreszcie męczeństwa nasze i niewinnej krwi tyle wylanej w sprawie skruszenia jarzma niewoli, wytrwałość nasza w cnocie i nadmiar poświęceń, podniosły i sycą ciągle dumę narodową, i to jest droga, którędy iskierkę miłości ojczyzny i poświęcenia, choćby nie wiem jak przytłumioną rozbudzić można. Nieliczne są wyjątki.

Nadszedł nareszcie upragniony 21 lutego. Z chatek szlacheckich ubogich, bo strzechą pokrytych, i z marmurowych pałaców zarówno, o świcie już uderzał głos braterstwa i równości, głos szlachty darowującej pańszczyznę, znoszącej poddaństwo, wyciągającej do ludu braterskie dłonie, aby go przycisnąć do serca i przywrócić mu godność obywatela i brata, — z tych domków i pałaców powiewały trójkolorowe chorągiewki, i głos ogólny „d o b r o n i!“ rozległ się po całej okolicy, głos rzadko a może nigdy niesłyszany, głos tak mile wzruszający serca, głos wszystkie dla kraju podnoszący uczucia, głos, w którym się zamykała cała smutna przeszłość i pełna nadziei przyszłość ukochanej ojczyzny. Na wszystkich drogach i ścieżkach widziałeś ruszające się gromadki zbrojnej szlachty i wiernych sług, bo lud zbłąkany i podłą oszukany zdradą, z dziecinną trwogą w sercu, krył się po lasach i odległych polach, i nurzał głębiej jeszcze głowę swoję w kał ciemnoty i poddaństwa, aby wschodzącej dlań jutrzenki tak świetnej przyszłości nie widzieć.

Starzec nasz kazał łoże swoje przysunąć do okna, aby po odczytanym akcie proklamacyi mógł patrzeć, jak syn jego w szeregi szykował ludzi i konie, przypinał trójkolorowe kokardy, rozdawał broń i lance biało-amarantowemi wiejące chorągiewkami.

Rozdzierająca serce była scena pożegnania — Starzec wszystkie zebrał siły, ażeby uzbrojonego i po raz pierwszy na posługi ojczyzny wychodzącego syna ujrzał i pobłogosławił.

— „Idź! niech cię strzeże ten, który strzegł zawsze Polaków w wojnie z wrogami! Tu na-ci kord sławny, kord, który przeszło lat czterdzieści mego nie odstępywał boku. Idź i pomścij się krzywd dokonanych na twoim narodzie; pierwszym bądź w boju, a bóg cię ustrzeże. Tylko dla cnót są nagrody. Boga wzywaj, a ręki przykładaj! krzyżową sztuką, a gęsto pałaszem! — Tu na-ci szkaplerzyk z relikwią — to chroni od rany. Nie żarty, mospanie! półgłówki nie wierzą. Kto wierzy, rozumiesz, ten będzie uzdrowion! Wierz w świętość szkaplerza, a ranion nie będziesz. Rozumiesz? A starszych mi słuchać! Braterstwo i równość gdzieindziej ma miejsce. Kto słuchać nie umie, nie godzien być wodzem. Bez służby, posłuchu, nic w świecie, — przynajmniej nic w wojsku. Dla czego się Polska rozpadła? Bo ładu nie było; a służby gdzie niema, tam ładu nie będzie i wszystko przepadnie! — Idź! a może ty będziesz szczęśliwszym za chwilę, niż ja przez lat czterdzieści!“

I zrobił krzyż ręką w powietrzu i łzami się zalał biedny starzec. Długo trzymał syna w objęciach, długo go ściskał, jak gdyby się żegnał na wieki.

Nie minęła jeszcze doba, a wielkie zaszły zmiany w znajomym nam dworze, wielkie w całej prowincyi. Szala, która się wczoraj między piekłem a niebem ważyła, zanurzyła się w piekle.

Dzień byłto wielki, pamiętny, krwawo zapisany w sercach naszych, krwawo naznaczony na ziemi. Byłto dzień bitwy wielkiej, pierwszej może w dziejach świata, bo w jednej chwili stoczonej na przeszło stumilowej przestrzeni — Nie masz broni jakiejby tam nie użyto, nie masz męki, jakiejby na niewinnych ofiarach nie doświadczono. Miliony walczyły z jednej, tysiące z drugiej strony. W jednym dniu tysiące najczarniejszych popełniono zbrodni, tysiące najpodlejszych zdrad uknuto.

Na chwilę tylko zabłysnął orzeł biały bez korony i berła, z dwoma wiankami w szponach, nad wieżami Krakowa; na chwilę tylko powstali Polacy, aby tem silniej upaść ku ziemi, — lecz zarazem aby jeszcze raz dowieść światu, jak szlachetne i czyste zawsze są ich zamiary.

Na próżno rzucasz wzrokiem wokoło i szukasz dworu, coś go widział zrana. Patrz, oto puste, gwałtownym płomieniem pożaru i dymem poczerniałe stoją mury; z stajen i budynkow gospodarskich dogorywają zgliszcza i trzeszczą niedopalone podwaliny; brama wjezdna z korzeniem wydarta, wywrócone i strzaskane parkany. Na dziedzińcu tłumy rozhukanego i w półpijanego ludu z zwierzęcemi gestami wydzierają sobie kawały mięsa i flasze z trunkami, i śród bezbożnych wykrzyków i dokonanej zemsty wybuchów, zwijają się wybierając sobie reszty ze dworu wyniesionych sprzętów i rzeczy. Pod murem leży kilka na miazgę roztrzaskanych trupów — pośród nich starzec, pan domu, z wywleczonemi wnętrznościami, z roztrzaskaną czaszką i obok niego leży ręka odcięta, w skurczonych palcach trzymająca kindżał tatarski; — z drugiej strony o piersi jego głową oparty, bez nóg leży tułów wiernego lokaja, świeżym mózgiem i krwią swego pana zbryzgany, — widać, w ostatniej godzinie musiał go własnemi zasłaniać piersiami. Nad całym tym krwawym obrazem szeroka rozpięła się łuna na niebie.

I nie jedna to tylko łuna w tym dniu na ziemi naszej, i nie jeden to trup roztrzaskany, i nie jeden to dworzec zniszczony.

Gdybyś był ptakiem i lotem orła wzniósł się w powietrze, tysiąc takich obrazów ujrzałbyś na ziemi przodków moich.

Od Wawelu i Morskiego Oka aż po San i dalej, szatan piekielne wyprawił igrzysko. Ziemia cała krwią zlana, zasiana szczątkami połamanej broni, wysłana trupami, — na niej, jako gwiazdy na niebie, gorą domy braci moich. Tłumy podłą zdradą oszukanego ludu, jak rozhukane zburzonego morza fale, jak orkany, jak palący Samum puszcz afrykańskich, pijane zemstą, wściekłe mordem i swawolą, lecz we wnętrzu serca niewinne, ciągną od dworu do dworu i niszczą co w drodze im staje; — ktokolwiek czarną masz szatę na sobie, męczeńską z ich ręki giniesz śmiercią; — starce i chorzy, niewiasty i dzieci, zbrojni i bezbronni, jako bezsilne owady padają na ziemię przed gromadami Kaimów, i w własnej krwi się nurzą. Nad Wisłą szereg dział, rozwartemi paszczami zieje ogniem na procesyę złożoną z kapłanów, niewiast i dzieci. Wisła trupami zawalona, stanęła, i jeszcze raz krwią polską, się rumieni. Na ziemi śliskiej od krwi niewinnej, cały naród krzyżem upadł przed panem wszechmocy, i razem z jękiem boleści męczenników posyła modły swoje do niego, aby ulżył lub odwrócił tak ciężką plagę. Na niej po raz ostatni chrypliwym głosem zagrzmiało *Te Deum* ohydnego zwycięstwa — i po raz ostatni raniony orzeł biały poleciał w Tatry ostrzyć dziub na nowe boje; — bo w dali, jak widmo Chrystusa, na polskiej Golgocie zabłysły dwie szubieniec — i głos się ztamtąd rozległ po kraju: „Radujcie w Panu, albowiem jesteście odkupieni!“

MODY.

Z Paryża, dnia 29 marca 1848.

Stroje damskie. Najnowsze suknie do ubrania wieczornego są następujące; Suknia atłasowa, w pasy białe i niebieskie, wierzchnia spodnica krótko obszyta koronką angielską, druga biała atlasowa; stanik gładki, kończasty, z przodu otwarty, obszyty koronką nakształt wyłogów; rękawy półdługie, ukośne, obszyte szeroką koronką, podkładka marszczona, muszlinowa; czepeczek maleńki, koronkowy, ubrany różami z każdej strony i wstążką różową atłasową, w długie końce spadającą. Ubior na wyjście: Szlafroczek atłasowy, popielaty, z przodu otwarty, przez całą długość guzikami jedwabnemi i taśmą obszyty; stanik marszczony, na ramionach gładki, z przodu otwarty, z małą pelerynką kończastą, na ramionach i w stanie obszyty dokoła taśmą; rękawy półdługie, z wyłogami. Pod spodem batystowa spodnica, z szeroką falbaną koronkową. Podkładka muszlinowa, haftowana, rękawy muszlinowe, z haftowanemi wstawkami; czepeczek koronkowy, pąsowemi aksamitkami ubrany.

Redaktor odpowiedzialny JAN DOBRZAŃSKI. *Wydawca* TOMASZ KULCZYCKI.

DRUKIEM PIOTRA PILLERA.